

# Andrzej Dobosz

---

## Odcinek pierwszy

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1, 188-194

---

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Autobiografia

*Andrzej Dobosz*

## **Odcinek pierwszy**

*Wczesnym letnim popołudniem, idąc pustą ulicą, zobaczyłem całkiem nowe białe pasy na jezdni. Pomyślałem, że instrukcja nakazująca przechodzenie wyłącznie po białych pasach oznacza, że wolno stawać wyłącznie na białych pasach. Wszedłem na jezdnię. Na samym środku odległość między dwoma pasami była nieco większa. Musiałem zatrzymać się na chwilę i skoczyć. Trafiłem na białe i dalej już bez trudu dotarłem na drugą stronę ulicy. Ale wszystkie moje sprawy miałem do załatwienia na tamtej, pierwszej. Natychmiast więc wróciłem z powrotem; oczywiście poruszając się po pasach. Wtedy właśnie podszedł do mnie jakiś młody pan i spytał: czy mam czas i czy mógłbym zagrać w jego filmie?*

*Był to reżyser Marek Piwowski zaczynający swój pierwszy duży film, który miał nosić tytuł: REJS.*

*Tak więc zostałem aktorem kinowym.*

*Właściwie nie miałem na to czasu. Ale zbliżał się sierpień i Biblioteka Uniwersytecka miała być zamknięta na cały miesiąc. Biblioteka Narodowa też już była nieczynna. Podczas letnich upałów duża biblioteka w starych, grubych murach jest najchłodniejszym miejscem, jakie znam. Mógłbym w niej spędzić całe lato. Tym bardziej, że zbyt mało czasu spędzam tam wiosną. Jeśli jest dobra pogoda, ciągnie mnie wtedy na spacer. W dni chłodne w czytelniach są okropne przeciągi. Gdy nadchodzi wiosna kalendarzowa w bibliotece otwiera się wszystkie okna, niezależnie od tego, co się dzieje na ulicy. Po kwadransie siedzenia w przeciągu zaczynam się niepokoić, wyobra-*

zam sobie, że zaraz zaczną mnie drapać w gardle i nie mogę już czytać. Taka wrażliwość na zimno, właściwa ludziom, którzy trochę siedzą i trochę czytają, nazywa się kryestezja. Pan Jerzy kryestezją był skłonny tłumaczyć pewną nieodporność intelektualistów weimarskich wobec nazizmu. Czynili oni znaczne koncesje, byle tylko zachować przydziały węgla na zimę, by w cieple móc komentować Goethego i Schillera.

Tak oto niewiele czytałem ostatniej wiosny. W czerwcu w bibliotece zaczęli tłoczyć się studenci, więc wyjechałem na krótkie wakacje. Pod koniec czerwca miasto opustoszało i rozpocząłem najlepszy, najbardziej pracowity okres roku. I teraz, po pięciu tygodniach musiałem przerwać moje lektury. Skorzystałem zatem z zaproszenia filmowego.

Potem, podczas pobytu na statku, w czasie kręcenia filmu REJS pomyślałem, że Marek Piwowski musiał zauważyć mnie wcześniej, zanim wstąpiłem na pasy. Być może, spostrzegł mnie zaraz po moim wyjściu z biblioteki. Zostałem zatem zaangażowany do filmu przez oczywiste nieporozumienie. Było wtedy wczesne południe i z powodzeniem mogłem jeszcze kilka godzin czytać. W czasie lektury coś sobie jednak wymyśliłem i uznałem to za wystarczający pretekst, by wybiec z czytelni i pójść opowiedzieć to NN. Moje wszystkie historie są wymyślane dla NN. Wyszedłem więc z biblioteki. Nie jestem wysoki, ale zwykle trzymam się prosto, rozglądam uważnie i korzystam z przyrodzonej — może zresztą umiarkowanej — sprawności ruchów. Zawsze jednak, gdy wychodzę przedwcześnie z biblioteki, wyrzuty sumienia sprawiają, że przygarbiam się, oko powleka mi się melancholią i zamyślony nad moim, jakże zasłużonym losem, depczę, wycierając wierzchnie okrycie o mury miejskie. Do tego pod pachą dźwigam książkę, którą noszę ze sobą do biblioteki, żeby mieć co czytać, zanim z magazynu będą przyniesione dziełka, jakie sobie zamówiłem. Sprawiam pewnie wtedy wrażenie człowieka, któremu teoretyczne lektury i umysłowe spekulacje zmąciły nieco umysł. Nie mogę wykluczyć możliwości, że to właśnie ktoś taki zwrócił uwagę mojego reżysera.

W przekonaniu, że skorzystałem z nieporozumienia, utwierdza mnie odpowiedź na moje indagacje: kogo mam zagrać i czy nie jest lekomyślnością powierzanie mi jakiejś roli?

— Zagra pan po prostu samego siebie.

— Ach tak.

Ale kim jestem?

Odpowiedzi na to pytanie miałem odnajdywać przez najbliższe siedemdziesiąt dni po to, by wybrać co najwyżej jedną z nich. Teraz wsiałem na statek i zacząłem poznawać pasażerów. Pierwszą zaletą zespołu big-beatowego z Sochaczewa był fakt, że składał się tylko z trzech osób. Pod koniec pierwszego dnia stało się oczywiste, że są oni w stanie wykonywać nie mniej niż cztery piosenki. Moje potrzeby towarzyskie zostały na razie zaspokojone i wycofałem się z książką w jakiś spokojny kąt.

Sainte-Beuve opowiada, że w Pezenas, w Langwedocji nie opodal Montpellier, przechowują fotel, w którym podobno Molier zasiadał co soboty u pewnego wziętego fryzjera, by pobierać zapłatę i przy okazji obserwować słowa i oblicza klientów. Powinienem zapanować nad moim nawykiem odchodzenia na bok z książką, ilekroć zaczyna się coś dziać. W tej chwili zauważyłem jednak, że argument za tym, by przełożyć życie nad książki, zaczerpnąłem właśnie z jednej książki.

Zgodziłem się zagrać samego siebie.

Jestem historykiem idei, co mnie w pewien sposób unieruchamia wobec ludzi. Historykiem idei jestem jednak od niedawna. Kiedyś byłem krytykiem teatralnym. Studiowałem wtedy po raz pierwszy na uniwersytecie i byłem poddany surowej dyscyplinie domowej. Mój Ojciec żądał, bym wracał do domu przed dziesiątą wieczorem. Odnalazłem szczelinę w tym systemie. Jeśli pokazałem zaproszenie na premierę prasową, mogłem w praktyce wrócić, o której chciałem. Czasem uważałem za właściwe obejrzeć jakieś przedstawienie dwukrotnie. Wtedy moja recenzja musiała być dłuższa. Wreszcie skończyłem polonistykę i nie miałem pewności, czy rzeczywiście chcę być krytykiem teatralnym. Może zresztą pojąłem w akcie intuicji, że okres, w którym — jak to było za życia nieboszczyka — wszystkie ważne spory przybierały postać sporu o teatr, że ten okres właśnie dobiega końca.

Pomyślałem, że mógłbym jednak zostać wielkim krytykiem teatralnym. Postanowiłem przeczytać wszystkich moich poprzedników piszących po polsku. Przy okazji miałem przygotować antologię polskiej krytyki teatralnej. Wybrałem się do biblioteki. Pierwsze polskie teksty zawierające opis i próbę oceny przedstawień pochodzą z XVII w. Zacząłem jednak swoje lektury w porządku innym, alfabetycznym. W katalogu pudła C („Czas”) i D (na pewno są tam rozmaite „Dzienniki...”) były w opracowaniu. Wybrałem więc „Gazetę Warszawską”, której redaktorem i równocześnie recenzentem

teatralnym został w roku 1841 Antoni Lesznowski-syn. Czytałem go z przyjemnością. Pamiętam jeszcze zakończenie recenzji z francuskiej melodramy „Ralf czyli Podziemia”: „Jak wyrachowałem ginie w niej 157 osób najmniej, a mianowicie:

po pierwszym akcie umiera Teresa	1
zabijają Doktora, Rudolfa	2
zabijają Pocztyliona i Żokeja	2
Ralfa	1
Baltazara	1
Major zabija Zbójców	150
Zabitych w ogóle	157

a przypuścić należy, że i karabiniery mieli kilku zabitych i rannych. O grze artystów nic nie powiem, bo prawie wszyscy poginęli. Tym, co przy życiu zostali, dobrego zdrowia życzę.”

Osobliwa wydała mi się recenzja następująca: „(...) kiedy komedia w terażniejszości czerpie, wolno jej i powinna być bez żadnej litości (...) W «Zemście» Fredro przechodzi w ubiegłe czasy i podnosi przeszłości zasłonę, ale jak ją wystawia? Czy honoru umiłowaniem, cnoty wyrazieliwą ją czyni? czy zasługą poświęcenia ubarwia? nie — Fredro się śmieje, ujemną jej stronę wskazuje (...)”. W jednym „tylko ustępie Fredro trafia do duszy. Tu tylko ton dzieła zniżony, jak powiedzieliśmy do farsy, podnosi się. Znużeni bezcelowością, płytkością scen poprzednich, czekamy na tę scenę” gdy Rejent wpada do domu Cześnika, a gospodarz potrafi opanować swą zapalczywość:

Wszak gdy wstąpił w progi moje  
Włos mu z głowy spaść nie może.

Gdybym zaczął lekturę Lesznowskiego od tej recenzji z „Zemsty”, zapewne na niej bym ją przerwał, po to by czytać innych polskich krytyków teatralnych. Zdążyłem się jednak wcześniej przekonać, że był to krytyk wybitny. Chciałem więc zrozumieć jego racje. Trochę już je zresztą rozumiałem. Może dlatego, że nie umiałem się ograniczyć do recenzji teatralnych i czytałem „Gazetę Warszawską” od pierwszej do ostatniej strony. Teraz chęć rozumienia spowodowała parę następnych lektur.

Któregoś dnia pojąłem, że historia, a mówiąc dokładniej: parę ówczesnych historii interesuje mnie znacznie bardziej niż krytyka teatralna.

W tym samym, co Lesznowski, roku 1841 paru innych chłopców rozpoczęło swoje przedsięwzięcia. Karol Darwin (1809 r.) wydał właśnie swą pierwszą książkę „Podróż naturalisty na statku Beagle”. Soren Kierkegaard udał się w swą pierwszą podróż do Berlina, by słuchać wykładów Schelinga. „Scheling wyglądał nader niepozornie, przypominał poborcę podatków.” A jednak „w hałasie, wyciu, gwizdaniu i stukaniu do okien tych, co się nie dostali do wnętrza, w tak zatłoczonym audytorium, że ma się niemal ochotę zrezygnować”, słuchali go, obok Kierkegarda, Michał Bakunin, Jakub Burckhardt, Iwan Turgieniew i Fryderyk Engels.

Pewien młody człowiek pisał z Kolonii do swego przyjaciela 2 września 1841 r.: „(...) przyjedź na początku następnego tygodnia, mianowicie w niedzielę statkiem, gdyż w dniu tym mój ojciec wyjeżdża (nie będzie go przez tydzień) i będziesz mógł całkiem wygodnie mieszkać u mnie, nie wydając pieniędzy na mieszkanie itd. Mieszkamy teraz w nowym domu i kilka ładnie urządzonych pokoi z widokiem na Ren będzie do Twojej dyspozycji.

Miło Ci będzie poznać tu człowieka, który należy teraz też do naszych przyjaciół, choć mieszka w Bonn, gdzie wkrótce obejmie wykłady (...) Gdybym mógł być w Bonn na jego wykładach logiki, byłbym jego najpilniejszym słuchaczem. Zawsze pragnąłem mieć takiego człowieka za nauczyciela filozofii.

Dr Marks, bo tak się zwie moje bożyszcze, jest jeszcze całkiem młodym człowiekiem (liczy najwyżej 24 lata), który zada średniowiecznej religii i polityce śmiertelny cios; łączy on głęboką powagę filozoficzną z ciętym dowcipem; wyobraź sobie Rousseau, Voltaire'a, Holbacha, Lessinga, Heinego i Hegla w jednej osobie, powtarzam: w jednej osobie, a nie zebranych razem — a będziesz miał doktora Marksa”.

W tym samym mniej więcej czasie ktoś inny pisał w liście przesłanym z Nowego Yorku do Polski: „Zdarzenia mnie tu rzuciły. Wie zapewne hrabia, jakie są główne zajęcia nie jednej już klasy, ale całego tego tu narodu: handel, przemysł na wszystkie strony, wszelkimi środkami, kanałami i ze wszystkim. Cała Europa ze swemi rękodzielniami, przemysłem znajduje tutaj targ, mimo tak różnorodnej domowej konkurencji. Dlaczegożby polska przemyślność także w zyskowne zapasy wstąpić nie miała? Fabryki krajowe, ile pomnę, nie wznosiły się brakiem wygodnej sprzedaży. Ten targ wyszukać im trzeba. Wędrując po Niemczech przed kilku laty, przekonałem się, że sukno polskie drugiego gatunku konkurować mogło

z pruskim w Prusiech, i widziałem cząstkowe wyprowadzenia aż do Szwajcaryi. Nikogo nie znam, czyj rozum jasny, wytrawny i praktyczny bardziej by się nadawał do pojęcia i do zrealizowania na wielką skalę podobnego przedsięwzięcia, jak hrabiego i braci jego.

Kolor czarny jest wyłącznie najpokupniejszym na wszystkie ceny. Jednak granatowy, ciemnooliwkowy, także odchodzą. Głównem jest apretura sukna. Musi być lekkie, lśniące, a nie mięsiste. Więcej dla oka, jak dla trwałości. Można także w tych samych kolorach próbować kaźmirkami. Gdy zaś stąd nic do Polski wyprowadzanem być nie może, więc wypłaty nie towarem, ale gotówką czynionemi będą wexłami na Rotschildów lub innych, stosownie do życzenia panów, a głównie stosownie do różnic kursu.

Dalsze widoki handlu dla sukien polskich są C h i n y. Najdalej za lat kilka droga żelazna przez Panama dwa oceany połączy i do Chin exportacją europejską nawróci. Droga ta już jest zamierzoną, i już spekulanci rachują, o ile kosztą exportacji z Europy do Chin przez Panama się zmniejszą, bez opływania naokoło Azji”.

Wszystkie te przedsięwzięcia wydały mi się nieporównanie bardziej pociągające niż oglądanie świata z perspektywy fotela sprawozdawcy teatralnego „Gazety Warszawskiej”. Ale ostatecznie rozstałem się z Lesznowskim z innego powodu. Otóż jego współczesni byli owładnięci ideą, że człowiek powinien robić rozmaite rzeczy, że ten sam człowiek powinien podejmować najróżnorodniejsze zajęcia. I że ten tryb życia powinien być dostępny możliwie dla wszystkich. Karol Fourier opracował nawet szczegółowe rozkłady zajęć. NN przełożyła dla mnie z francuskiego taki program na okres lata.

#### SEN od 11 wieczorem do 3<sup>30</sup> rano

1. o 4-tej wstawanie
2. o 5-tej pierwszy posiłek, następnie pokaz przemysłowy
3. o 5<sup>30</sup> zajęcia w grupie myśliwych
4. o 7-mej pielęgnowanie róż
5. o 8-mej śniadanie, dzienniki
6. o 9-tej uprawy pod namiotami; rośliny tyczkowe bądź jarzyny
7. o 10<sup>30</sup> zajęcia w gotébniku
8. o 11<sup>30</sup> zebranie w bibliotece

#### O 1-szej OBIAD

9. o 2<sup>30</sup> w ciepłarni
10. o 4-tej zabiegi przy roślinach tropikalnych

11. o 5-tej przy stawach rybnych
12. o 6-tej podwieczorek, czwarty posiłek
13. o 6<sup>30</sup> hodowla merynosów
14. o 8-mej giełda. Tu się ustala przyszłe zajęcia
15. o 9-tej kolacja, piąty posiłek
16. o 9<sup>30</sup> zajmowanie się sztuką, koncert, bal, przedstawienie, przyjęcie.

Ważniejsze jednak od układania programu dnia wydały mi się analizy innego filozofa. Nie będę już otwierał cudzysłowu, bo kajuta na statku okazała się dość niewielka i nie mogąc rozpakować paki z książkami, odesłałem ją ładem do domu. Opowiadam o tym, co było i jest ważne dla mnie, więc cytaty z powodzeniem mogę przytaczać tak, jak je zapamiętałem. Oddawna zresztą przyzwyczailem się myśleć, więc i mówić cytatami; jedynie w ostateczności, nie mogąc znaleźć stosownego tekstu, buduję nowe zdania.

Filozof, o którym chcę opowiedzieć, analizował sytuację, w której praca zaczyna być podzielona, każdy ma pewien swój wyłączny, ograniczony krąg działalności, który jest mu narzucony i z którego nie może się wydostać; jest myśliwym, rybakiem lub pasterzem, albo krytycznym krytykiem i musi nim pozostać, gdy nie chce stracić środków do życia. To utrwalanie się działalności społecznej, to konsolidowanie się naszego własnego wytworu w rzeczową nad nami władzę, która przerasta możliwości naszej kontroli, krzyżuje nasze oczekiwania, niweczy nasze rachuby. W tej chwili przypomina się myśl filozofa odmiennej zupełnie tradycji, Pascala: Nie powinno się mówić o nim ani matematyk, ani kaznodzieja, ani krasomówca, ale *człowiek*: jedynie ta ogólna właściwość przypada mi do smaku. Kiedy widząc człowieka przypominamy sobie jego książkę, zły to znak; pragnąłbym, abyśmy nie myśleli o żadnym z jego przymiotów, dopiero w danej chwili, przy sposobności — byle nie za nadto — z obawy, aby jakaś zdolność nie poniosła go i nie przyczepiła doń godła. Niech nikt nie myśli o tym, że on jest wymowny, aż do chwili, kiedy przyjdzie czas na wymowę, ale wówczas niech go wspomną.

Po tym wszystkim nie umiałem już zachwycać się Antonim Lesznowskim.

(Dalszy ciąg nastąpi)